Rozmaitości

Dnia 21. stycznia N^er. 3. 1832 roku.

USTĘP Z ŻYCIA KAPITANA B***

(Powieść napisana przez Ignacego Pollaka, niegdyś profesora przy c. k. uniwerzytecie lwowskim, wyłożona przez Wacława z Oleska.)

Stan do którego teraz należę, poznałem w czasie wyprawy roku 1807. Aż do onéj pory wojskowi byli dla mnie, jak dla wielu innych młodych, próżnych ludzi, jak to powiadają, solą w oku. Miałem potenczas dochodną posadę w dobrach jednego z morawskich magnatów; drobne urazy ze strony oficerów, którzy u nas stali na kwaterze, ich wywyższanie się nad nas, które nam przy każdéj sposobnosci nie rozsądnie czuć dawali, a nade wszystko jakaś ogólna zazdrość względem ich szczęścia u kobiét, czyniły tak mnie, jak moim towarzyszom cały stan wojskowy wielce znienawidzonym. Nie omieszkiwaliśmy też, gdyśmy się razem zebrali, tajnie ukrytéj zawiści otwiérać zapor wymowy.

Ależ naraz rozpoczęły się przygotowania do wojny, która miała rozstrzygnąć los Austryi, a może i całéj Europy. Tu już oficérowie nasi w cale inném pokazali nam się świetle; zapomniano o dziecinnéj zawiści, gdyż nie szpadzie i ostrogom, ale męzkiemu sercu przychylny i nieprzychylny chętnie ustępował. Ta okoliczność i codzień głośniéj odzywające się we mnie przekonanie o własnéj nikczemności pierwszy raz w mojém życiu obudziły we mnie chęć do broni. Nié masz istotnie dla młodego, odważnego człowieka nic przykrzejszego, jak w czasie ogólnéj potrzeby należéć do opuszczonych i pomocy potrzebujących. Krótko powiedziawszy, poszedłem za wezwaniem mego przełożonego i zostałem porucznikiem w kompanii milicyi krajowéj, którą on właśnie formował. Wiele mieliśmy pociechy z nowego stanu naszego, a kapitan mój dnia onego, gdy piérwszy raz przywdział mundur, kazał się odmalować na wieczną pamiątkę. Częste miewaliśmy schadzki, rozmawiając széroko o naszéj wiele znaczącéj przyszłości; natomiast w przytomności osób cywilnych, gdy była mowa o wojnie, umieliśmy zachowywać milczenie, jakie przystoi znającym się na rzeczy.

Przyszło nareszcie do marszu. Tu dopiéro pokazał się wcale inny skład wszystkiego. Mój kapitan niezmierne czynił przygotowania: maszyny do kawy, puzderka, szkatułki podróżne, wszystko to stało porozstawiane na stołach i stołkach, szło porządnie pod rewizyja i assentyrunek, gdy tymczasem poczciwa żona w drugim pokoju mustrowała bieliznę, wynosząc jednę sztukę po drugiéj, ktoréj nie odbitą potrzebę w polu dowodziła.

Co się mnie tyczé, zupełnie sobie inaczéj postąpiłem. Chciałem być lekko wybrany, nie czyniłem więc żadnych przygotowań. Zaprosiłem się po kolei u sąsiadów i przyjaciół na obiadek, wypiłem wszędzie szklankę wina jednę i drugą na szczęśliwy powrót, a gdy nadszedł dzień marszu, szedłem piérwsze pół mili zasępiony, drugie

zaś marzący, ale — po dobrym obiedzie, wypróżniwszy butelkę wina z zapasu kapitana, żwawo i wesoło ruszałem dalej. Nie tak snadno powodziło się kapitanowi; co chwila przychodziły mu różne rzeczy na pamięć, których mimo staranność i swoję i żony przecież wziąć zapominał. Nie długo też mógłem się cieszyć i z nim i z jego winem, gdyż po kilku dniach istotnie zapadł w chorobę, a gdy poźniej powrócił do swojej kompanii, przeniesiony już byłem do linijowego pułku.

Noc przed piérwszą potyczką, któréj byłem przytomny, wiecznie mi będzie pamiętną. Blizko bawarskiéj granicy opanowaliśmy wzgórek, z którego széroką przestrzeń przejrzéć było można. Xiężyc całą noc świécił, mogliśmy więc widziéć zwolna posuwającego się nieprzyjaciela, który nam się w oddaleniu nito czarny las, mocnym rozchwiany wiatrem, wydawał. Piérwszy raz w życiu śmierć stanęła mi przed oczyma, i jak gdyby zlodowaciałą ręką uchwyciła za me serce. Nim jeszcze dnieć poczęło, zbliżył się nieprzyjaciel i udérzył na nas; ale — rzecz osobliwsza, za piérwszą kroplą krwi, którą na naszéj ujrzałem stronie, znikła moja obawa i ta ckliwość, któréj wprzód zbyć się nie mógłem. Ciało wszakże drżało jeszcze mimowolnie przez chwilę, ale już czułem w sobie odwagę, i to więcéj jeszcze, jak kiedy. Porucznik dowodził kompaniją, do któréj należałem. Przy piérwszém natarciu kula karabinowa urwała mu rękę; odprowadzono go więc za szeregi, a tak dowodzenie, to jest krzyczenie lub raczéj darcie się, na mnie z kolei wypadło. Dzielni moi Morawijanie mężnie się stawili; do południa byliśmy w ogniu; nareszcie nieprzyjaciel został zmuszonym cofnąć się nic nie wskurawszy. Radość moja była niewymowną; z najmajętniéjszym dziedzicem w Morawii nie byłbym się mieniał w téj chwili. Jenerał brygady przyskoczył ku nam dowiedziawszy się, kto kompaniją dowodził, zapisał nazwiska moje i porucznika do swego pularesu. Wystąpiłem ku niemu, prosząc o jedyną łaskę, ażeby mi wolno było na zawsze pozostać w wojsku. Znowu coś zapisał do pularesu i odjechał. W dziesięć dni odebrałem patent na porucznika do pułku F.

Przybyłem do pułku na dwa dni przed bitwą pod A. ... Nie mogę powiedzieć, żebym miał był wiele powodów cieszyć się z mego nowego położenia. Młodzi oficérowie krzywo na mnie poglądali; starsi zaś uważali mię we wszystkiém jako początkowego. Prawda, że tu wszystko inaczéj wyglądało, jak przy mojéj dawniéjszéj kompanii. O odwadze nie było i mowy; uważano to jak coś takiego, co się samo przez się rozumié; nie używano nawet tego wyrazu. Im więcej uważałem skład rzeczy, tym boleśniéj przyszło mi wyznać ze wstydem sobie samemu, ile mi jeszcze nie dostaje, ażebym z pewnością mógł postępować w moim stanie, który jak na nieszczęście bardzo polubiłem. W prostocie mego sposobu myślenia poszedłem do kapitana; zwierzyłem mu się i trosk moich i ich powodu. Osiwiały żołnierz nie zrozumiał mię dobrze; wpatrzywszy się mocno we mnie, oschłémi odpowiedział mi słowy: »Mój mospanie, potrzeba najpiérwéj zaprawić nos do wojny; gdy ten ruszy naprzód, głowa nie zostanie z tyłu, a ręce i nogi same za nią pójdą.« Te słowa dokonały moję rozpacz; odszedłem zawstydzony, pragnąc ukryć się, gdyby można było, przed samym sobą. Piérwsza moja z nieprzyjacielem rozprawa, która mię nieco dumnym uczyniła, wydawała mi się teraz dziecinną igraszką obok bohatérskich czynów, które, jak sobie wystawiałem, każdy nawet z moich podwładnych dokonał. Cóż mi się działo, gdym pomyślał, że mimo tę ich wyższość, przecież i ja nimi mam dowodzić? Nie śmiałem prawie zbliżyć się do żadnego. Przykre to uczucie trapiło mię tak długo, dopókim nie usłyszał piérwszego huku nieprzyjacielskich armat. Wtedy dopiero odetchnąłem wolniéj, niczego goręcéj nie pragnąc, jak tylko ażebym się jak najprędzéj znajdował śród gradu kul, w największém niebezpieczeństwie, ażeby się tylko wyszczególnić. Ale też dzień ten ustalił moję sławę w pułku. Trzy razy przypuszczaliśmy atak, ażeby nieprzyjaciela wyprzéć z bardzo korzystnéj pozycyi na wzgórzu. Przy drugiém cofaniu się kapitan otyły i

ociężały wywichnął sobie nogę; nie był więc już dnia tego zdolnym do służby. Trzecim atakiem ja dowodziłem. Ludzie moi nabrali już do mnie zaufania; rzucili się tedy za mną, jak lwy rozjuszone. Najbliźsi około mnie uszykowali karabiny swoje nad moją głową, a tak walcząc razem, pierwsi wdarliśmy się na wzgórze. Nieprzyjaciel został odpartym; wszystkie kompanije rzuciły się za nami; całą pozycyją nasi zajęli. W téj chwili postrzegłem z daleka zbliżacego się pułkownika z pałającą od radości twarzą; wystąpiłem przeciw niemu kilka kroków, ale — naraz i pułkownik i towarzysze i cała radość moja wraz z przytomnością znikły przede mną. — Kula armatnia przeleciała obok moich piersi, a nacisk powietrza obalił mię ku ziemi. Po kilku dopiero godzinach przyszedłem do siebie. Ujrzałem się w czystém polu; późny już był wieczór; nie słychać już było huku broni; zupełna dokoła panowała cisza; przy mnie był tylko lekarz i jeden z moich szeregowców. Gdym odzyskał całkiem przytomność, piérwsze moje zapytanie było, jak się bitwa skończyła. Z niepospolitém zadowolnieniem opowiadał mi lekarz, że nasza wygrana i że pułk, do którego należałem, najchwalebniéj się popisał. Rozumiałem, co mówił; zdawało mi się jednak, że jestem we śnie. Huk dział, krzyk żołniérzy, moje własne słowa, którémi ich do śmiałego wzywałem odporu, wszystko to razem brzmiało w mojéj głowie. Po chwili i to ustało; wtedy dopiero uczułem ból przy każdém odetchnieniu; całe piersi były spuchnięte i jak gdyby ołowianém przyciśnięte wiekiem. Nie mógłem się podnieść; zaniesiono mię więc do najbliższego mieszkania, a nazajutrz ułożono dość wygodnie na wozie, ażeby mię odwieźć do pułkowego szpitalu w Czechach. Nim odjechałem, kilku oficérów z pułku przyszło mię odwiédzieć, i stary kapitan przykulał także. Musiano go wysadzić na koło od wozu; nachylił się ku mnie, a całując mię z wielkiém rozrzewnieniem w usta, rzekł: »Mój móspanie, wyzdrowiej tylko jak najprędzéj, a obaczysz, co cię czeka.« Ujechaliśmy może z milę, gdy się dały słyszeć mocne wystrzały. Kapral jadący wraz ze mną, uważał, że to są salwy podczas *Te Deum*; złożył więc ręce i modlił się z cicha; ja zaś ledwiem nie płakał z żalu, że właśnie w takiéj chwili musiałem się oddalić od armii. Uczucie zwycięztwa, do któregośmy się krwią naszą przyczynili, przechodzi wszelkie uczucia, jakie kiedy pierś męzką napełnić zdołają.

Bardzo powoli przychodziłem do zdrowia; zewnętrzne uszkodzenie dało się prawda wkrótce uleczyć, ale otrząśnienie piersi pociągnęło za sobą plucie krwią, które w latach, w jakich wtedy byłem, niechybną śmierć zapowiada. Tylko niezwątlone siły m je zdołały mię uratować. Nie wróciłem prędzéj do pułku, aż gdy już był rozłożony po zimowych leżach. Wszyscy oficérowie powitali mię z widocznym szacunkiem. Jakież to przyjemne było dla mnie uczucie, widzieć się w poszanowaniu u ludzi i zasłużonyoh i doświadczonych. Aleć poszanowanie to miało coś szczególnego w sobie, czego pojąć nie umiałem. Stary mój kapitan, który tymczasem został majorem, wyświécił mi rzecz jednêm słowem, zapewniając mię z cicha na stronie, że jestem podany do krzyża. Na tę wiadomość, jakby elektryczném poruszeniem, ożywiły się wszystkie siły moje. Nie mógłem się umiarkować w mojéj radości, i dość niezgrabnie wysunąłem się z kompanii, w któréj się znajdowałem, ażeby tylko jak najprędzéj być u siebie i bez świadków pomyśléć nad szczęściem, które mię oczekiwało. Pamiętam jak dziś, w jakiem byłem poruszeniu, gdym nareszcie stanął u siebie. Mocnym krokiem chodziłem po pokoju; zastanowiłem się nakoniec przed zwierciadłem, wpatrując się z upodobaniem, na wzór próżnéj kobiéty, w twarz moję wychudłą i zapadłą wprawdzie, ale potenczas niezwyczajnym pałającą ogniem. Mówiłem nawet na głos z samym sobą, położywszy rękę na sercu, i mysląc prawie, że już mam pierś ozdobioną onym krzyżem, którego nie mógłem usunąć z myśli. Zwolna opuściłem rękę; zacząłem znowu mocno chodzić po pokoju, aż naraz sam się postrzegłem, żem się mimowolnie z położoną na sercu ręką przed zwierciadłem zastanowił.

Kilka dni poźniéj odjechałem na wyznaczoną mi stacyją. Byłoto małe, lecz schludne miasteczko; tuż obok miasteczka klasztor panien Benedyktynek. Zameldowałem się komendantowi miejsca, a memu nowemu kapitanowi. Powitał mię w rozśmieszający prawie sposób, zapewniając mię o swym szacunku i o swéj przyjaźni: »Wszyscyśmy,« prawił, »obowiązani koledze; nie mało się bowiem przyczynił do sławy naszego pułku. Nié ma teraz, w całéj armii, jak pułk F., a to z powodu bitwy pod A..... a w téj bitwie któż się szczególniéj odznaczył, jak nie kolega? Ja też moję wdzięczność chcę dowodnie koledze okazać, i dla tego stawiam go na kwatérze w najporządniéjszym domu, a co większa, że dom ten ma — najpiękniéjszą dziewczynę w całém miasteczku. Kolego młody, przystojny, przedsiębierczy — czyńże więc swoję powinność. Tak tak, kolego! winniśmy sobie, Bóg widzi, powetować w czasie pokoju za wszystko, co człowiek w polu ucierpiał.« — Wstęp ten dość mi się podobał. Nie byłem nigdy nieprzyjacielem kobiet, ale ona zawistność z powodu wojskowych, o któréj wyżéj wspomniałem, zrodziła we mnie jakiś rodzaj dumnego usuwania się, co mię nie mogło płci pięknéj dobrze polecić. Od czasu zaś, jak sam zostałem wojskowym, nie miałem ani chęci, ani sposobności po temu, ażeby miłosnych szukać zawodów. Lecz teraz, w czasie pokoju, spodziéwać się można było niejednéj swobodnéj chwili; przy tém nadzieja bliskiéj wiosny, która zwykle nadawała mojéj wyobraźności jakąś lubieżną miękkość, czegom się tą razą tym bardziéj miał, gdym po przebytéj chorobie nie był jeszcze zupełnie przyszedł do zdrowia.

Słyszałem nie raz, że ważne odmiany naszego sposobu życia poprzedza jakieś szczególne usposobienie, które ani pojąć ani wytłumaczyć się nie da. Nie jestem uczonym, nie myślę się więc zapuszczać w zgłębianie téj tajemnicy serca ludzkiego; to tylko szczérze wyznać mogę, żem na samym sobie podobne uczynił postrzeżenie. Od dawna bowiem, zajęty zupełnie mojém nowém powołaniem, nie myślałem ani o żadnéj kobiécie, ani o żadnéj dziewczynie; teraz zaś nic mi się po głowie nie snuło, jak tylko niepewne jakieś myśli miłosne, a za pierwszym powiewem wiosiennym nieznana dotąd tęsknota opanowała moję duszę.

Odebrawszy tedy onę wiadomość od kapitana, pospieszyłem z widoczną niespokojnością na moję kwaterę. Dom, nieco na ustroniu leżący, podobał mi się z porządnéj powierzchowności; przystęp bardzo schludny, podwórko czyste, obok podwórka ogród; pierwsze wrażenie więc bardzo było przyjemne. Mój służący, zniósłszy tymczasem rzeczy, wyszedł na przeciw mnie, i zaprowadził mię do pokojów dla mnie przeznaczonych. Znalazłem dwa pokoje nie wytwornie, ale z tą starannością urządzone, która we wszystkiém rękę troskliwéj gospodyni zdradzała. W całém urządzeniu panował jakiś duch porządku, który to pomieszkanie wcale przyjemném czynił. Przystąpiłem ku oknu; widok był na ogród; w środku ogrodu altana z czerwonym dachem; przed altaną grządki, zasadzone tulipanami, narcysami, ubramowane stokrótką i bratkami. Długo błądziłem okiem po téj różnobarwéj przestrzeni, po tym rozścielonym najżywszych kolorów kobiercu, nie postrzegając żadnéj osoby, gdy naraz coś zaszeleściało w krzakach; zwróciłem w tę stronę oczy i ujrzałem — młodą dziewczynę, na nizkiéj siedzącą ławeczce. Pilnie robiła drótami, mając przy tém oczy wlepione w książkę na kolanach położoną. Zdawała mi się bardzo szczupłą; suknia w paski białe i błękitne, gładko upięta na piersi kształtnie usklepionéj; noga jedna wysunięta nieco z pod sukni, w błękitnym trzewiku, bardzo zgrabna. Nie mógłem dobrze dojrzéć jéj twarzy, to tylko widziałem, że włos ciemny, w rzęsistych spadający promieniach, wybornie się odbijał od jéj białéj szyi. Siedziała spokojnie, ja spokojnie stałem, gdy tymczasem moi ludzie krzątali się po pokoju, znosząc, ustawiając, co potrzeba było. Przyjemne to dumanie przerwał mi mój Wojciech, pytając się, czyli ma zostawić pierzynnik, który znalazł na łóżku położony. »Wynieś to,« zawołałem, nie oglądając się nawet, »wszak wiész, że

tego nie lubię;« ,lecz naraz wpadło mi na myśl, że to może ona przeznaczyła go dla mnie. Odwołałem więc rozkaz, a przystąpiwszy ku łóżku z upodobaniem poglądałem na on pierzynnik, nadzwyczajnie chędogi, błękitnemi powiązany stążeczkami. W téj chwili wszedł gospodarz; przywitał mię, nie skłaniając się wszakże. Słusznego był wzrostu, nieco wychudły i naprzód pochylony, a lubo nie mógł miéć więcéj nad lat pięćdziesiąt, włos jego zupełnie był siwy. Nie troszcząc się wiele o mnie, zabrał się po prostu do porządku i odmienił wszystko, co ludzie mo dotąd uczynili. Kazał posunąć sofę, inaczéj poustawiać stoły, krzesła, na innem miéjscu przybić źwierciadło, nareszcie zégar stołowy staroświecki kazał wynieść, a natomiast przynieść inny daleko nowszy. Gdy już wszystko było podług jego zamysłu, obrócił się ku mnie z témi słowy: »Pan porucznik znużony jest zapewne podróżą, zechce więc wieczerzać w swoim pokoju?« i odszedł, nie zważając bynajmniéj na moje zapewnienie, że wcale nie jestem znużony. Samotność nie była mi w tym razie na rękę; przystąpiłem znowu do okna, lecz ławeczka była już próżna; nadaremnie szukałem jéj oczyma po całym ogrodzie. Służący nadszedł z jedzeniem, odprawiłem go niebawem, gdyż nakoniec wolałem już sam pozostać. Długo chodziłem po pokoju, myśląc, sam nie wiém o czém, nareszcie stanąłem w oknie, a wlepiwszy oczy w jedną stronę, nie postrzegłem, że już noc ciemna zapadła, i że nic widać nie było.

(Dokończenie nastąpi.)

POLITYCZNY STAN BULGARÓW.

(Z dzien. *Journal d'Odessa*.)

Po przejściu Bulgarów pod panowanie Turków pozostały jeszcze niektóre pamiątki dawnéj ich wolności, szczególniéj w górzystéj części kraju, gdzie z początku właśni ich wojewodowie zarządzali oddzielnemi obwodami. Lecz z czasem Turcy objęli zwolna wszelkie rządy, i chociaż województwom zostawiono jeszcze ich nazwisko, zarządzali przecież niémi Turcy, pod imieniem wojewodów. Pod względem politycznym można Bulgarów dzielić na dwie części: na właściwą czyli niższą Bulgaryją i na Ajantyki, gdzie ludność mahometańska wyrównywa bulgarskiéj, albo ją poczęści przewyższa, i gdzie częstokroć Turcy niższéj klasy dopuszczają się bezprawia przeciw mieszkańcom. — Gwałty te pochodzą najczęściéj z fanatyzmu, którym ich napawa źle zrozumiana religijność; często jednakże i ztąd, że Aian własną siłą nie może utrzymać na wodzy ludzi burzliwego charakteru, popędzanych tak wielkiémi namiętnościami. Prócz tego, sposób postępowania chrześcijan częstokroć jest także powodem do tych nadużyć. Bulgarowie nizin różnią się zupełnie od Bulgarów górali. Większa ich część oddała się pijaństwu. Skłonni są do oszustwa, kłótni, buntów, rozbojów, a niekiedy i do kradzieży; ostatni tén występek w całém państwie Ottomańskiém jest w największéj pogardzie. — Bulgarowie ci mają wprawdzie więcéj sposobności do sporów z Turkami, gdyż ich pola, łąki i lasy są albo wspólne, albo graniczą z tureckiémi Prócz tego, z powodu blizkości granic Rossyi, muszą oni zaopatrywać twierdze artykułami żywności, odbywać zaciągi, dostawiać podwód, co wszystko wzbudza tylko między nimi a Turkami wzajemną nienawiść Mimo to, Bulgarowie ci mają się bardzo dobrze. Najmajętniejsi dzierzawcy wsi są Bulgarowie; wielu z nich posiada największe zaufanie Turków. W miastach najznakomitsi mieszkańcy, kupcy i rzemieślnicy są prawie sami Bulgarowie. — Prosta administracyja, wolność handlu i bardzo małe podatki w porównaniu z innemi krajami, czynią im znośnémi niektóre niesprawiedliwości Ajanów. Są przecież przypadki, że naczelnicy ci, w skutek uzasadnionych skarg mieszkańców, tracą swoje posady. Słowem Bulgarowie przywykli już do rządu tureckiego, i niejako są dla niego przychylni. Dowodzą to ostatnie wypadki. Wielka liczba tych Bulgarów, uniesionych osobistą zemstą lub religijnym fanatyzmem, wzbudziła podczas wyprawy 1829 r. sprawiedliwe podejrzenie swego rządu i celem, uniknienia spodziewanych ztąd skutków,

poszła z rossyjskiém wojskiem do Bessarabii, Multan, Wołoszczyzny. Po przybyciu do tych dwóch prowincyj, w kilka miesięcy powróciło ich mnóstwo do swojéj ojczyzny. Wielu także Bulgarów z Sylistryi i innych miejsc uczuło wnet żal, iż opuścili swoje siedliska, z pospiechem więc powrócili do nich. Ci tylko pozostali w Multanach i Wołoszczyznie, którzy przez swoję burzliwość zbyt się skrompromitowali. Środki, jakie sułtan przedsięwziął do wstrzymania emigracyi, nie mało bez wątpienia przyczyniły się do tak prędkiego ich powrotu Surowo zalecano ajanom, iżby do sześciu miesięcy pod żadnym względem nie zajmowano domów, ogrodów, ani jakichbądź posiadłości Bulgarów, którzy opuścili swoje mieszkania; a w przypadku, gdyby przed upływem tego czasu powrócili, iżby im wszystko nietknięte oddano. Hussein, ajan Jambola, jadąc do Bukarestu pod pozorem uskutecznienia tam jakiegoś kupna, podał rozkaz ten w księztwach do powszechnéj wiadomości. Puścił prócz tego wieść, iż wyznaczeni będą deputowani z śród Bulgarów, celem porozumienia się nad środkami poprawienia ich losu.

Stosunki Bulgarów górali z Turkami, całkiem się od tamtych różnią. Tworzą oni w pewnym względzie ciało narodowe, które tak przez siłę swojego spojenia i wojennego ducha mieszkańców, jako też przez ich umiarkowanie, pracowitość, rzetelność i sumienność w wypełnieniu przyjętych z obowiązań, jedna im szacunek. Ajani i wojewodowie, pod których rządem zostają, obchodzą się z nimi, jak z swémi współwyznawcami; są bowiem przekonani, że najmniéjsza z ich strony niesprawiedliwość, skoroby doszła do Porty, surowo byłaby ukarana.

Zamieszkała przez Bulgarów okolica nieraz już obudziła żądzę Turków osiedzenia się w niéj tak, jak w przyległych prowincyjach Serwii; lecz obawa zamieszania spokojności tego wojowniczego ludu i pobudzenia go do zbrojnéj obrony niedostępnych swych schronień skłoniła ich do zrzeczenia się tego zamiaru Prawa znane pod imieniem *disz parassi* i *disz chaki,* z którego Turcy w Serwii i w innych okolicach tak często korzystali, nie są znane Bulgarom. Dehlysowie i Janczarowie, równie jak i inni Turcy, mieli zwyczaj w swych podróżach, szczególniéj w Serwii i wyższej Grecyi, nocować u chrześcijan. Jadła i napoju mieli tam podostatkiem. Nazajutrz, albo w kilka dni, kiedy Turek udać się miał w dalszą podróż, domagał się *disz-parassi,* czyli odzębnego. »Zapłać mi,« rzekł, »za to, że sobie zęby na twoim chlebie stępiłem.« *Disz-chaki* płaciło się, kiedy podróżny miał z sobą konia. Za teraźniéjszego sułtana, szczególniéj zaś w ostatnich czasach, barbarzyński ten zwyczaj ustał powoli. Przy zawarciu pokoju w r. 1829, sławny Karadszanem ciągnął z oddziałem swego wojska z Szumli ku Ruszczukowi. Dwaj jego dehly-paszowie kazali sobie bogatemu Bulgarowi, w okolicy Rasgradu, zapłacić *disz-parassi* Dowiedziawszy się o tém pasza Rasgradu, Kuczuk-Achmet, kazał tych nieszczęśliwych uchwycić, powyrywać im zęby i stawić przed Karadszanem. Z powodu tego nastąpiła kłótnia między tymi dwoma naczelnikami; obadwa zaś winowajcy zostali ścięci; nadto Kuczuk-Achmet pod różnémi pozorami zabronił Karadszanemowi wnijścia do Ruszczuka i ten musiał się z swém wojskiem rozłożyć obozem nad brzegiem Łomu. Bulgarowie gór różnią się jeszcze od swoich ziomków pewnym stopniem wykształcenia. Mają oni szkoły, zajmują się czytaniem, szczególniéj historyków i innych dzieł, wydawanych w Budzie w języku sławiańskim. Używają, w teraźniéjszych zwłaszcza stosunkach, nieograniczonéj wolności wyznań i pod obcém panowaniem żyją w pokoju. Po wojnie zaczęto nawet w wielu miéjscach stawiać murowane z kamienia kościoły, co dawniéj surowo było zakazane. Jedna szczególniéj okoliczność czyni ich niespokojnymi i rozdraźnia czasem ich namiętności, to jest: chęc używania własnéj jurysdykcyi. Z resztą przez cały czas zajmowania przez wojska rossyjskie Sophii, Wracy; Szybki, Gabrowy, Tyrnowy i innych miéjsc, zachowali się oni bardzo spokojnie. Bulgarom służyło wyłączne prawo noszenia broni, którego używali do roku 1821. Około tego czasu niektórzy

z nich, których poźniej r. 1829 w Bukareście w domu Kichai-beja, seraskiera Sylistryi, zdradziecko zamordowono, dali się uwieść, zwłaszcza w dólnéj Bulgaryi, sławnemu bim-paszy Sawa, który w roku 1817 odebrał zlecenie od niejakiego Galati, ephora Heterystów, iżby w kraju tym tworzył związki w celu działania wspólnie z spiskowymi.

Udało się Sawie wciągnąć niektórych do tego rokoszu. Zapewniał on Bulgarów, że działa pod opieką i za zezwoleniem Rossyi, a nawet, że organizacyją ich zajmuje się jeden z jenerałów rossyjskich. Łatwowierni Bulgarowie wpadli w sidła, i kiedy książę A. Ypsylanti w r. 1821 przybył ze swymi Heterystami do Bukarestu, zaszli mu drogę deputowani z różnych miejsc. Było ich 17, odznaczyli się pomiędzy nimi: Chadzi, Michalaki z Skiwna, Chadzi Iwan z Osman-Bazaru i Chadzi Michalaki, Czarobadżi Oglu z Philippopolis. Zamordowano ich poźniéj bez litości w Sistowie, wyjąwszy piérwszego, którego febra zatrzymała w Zimnicy, gdzie, dowiedziawszy się o nieszczęśliwym losie swoich towarzyszów, uszedł do Kronstadu. Syn jego, wychowany po europejsku, mówi wielu językami. W r. 1830 wysłany był jako deputowany od Bulgarów, którzy wyszli do Wołoszczyzny. Wyżej wymienieni deputowani tajemnie wszystko przysposobili, co było potrzebne do prędkiego przeprawienia się przez Dunaj przy Sistowie, poczynili stosowne kroki do opanowania tego punktu i prócz tego zebrali bardzo wiele podpisów od osób, chcących mieć udział w tém przedsięwzięciu. Lecz Ypsylanti wtenczas już zmienił swoje plany. Dumnie odmówił im żądanéj summy 100,000 piastrów tur., które im na rozpoczęcie pierwszych działań potrzebne były; oddalił ich poźniéj zupełnie z zagrożeniem, że za wkroczeniem do ich kraju wszystkich na pal wbić rozkaże, jeżeli powróciwszy sami bezpośrednio nie urządzą powstania. Związek ich nie był tajny, więc i Turcy o wszystkiém zawiadomieni zostali. Nieszczęśliwi deputowani zapóźno błąd swój poznali. Zaledwie przebili Dunaj z Zimnicy do Sistowa, wnet wszyscy zamordowani zostali. Poźniéj tenże sam los spotkał wielu mieszkańców Bulgaryi, bez względu, czy padało na nich podejrzenie, lub nie, a zaraz potém rozbrojono wszystkich. Teraz prawo noszenia broni dozwolone jest tylko niektórym doświadczonym mężom. Wówczas zakazano im także jeździć konno; zakaz ten rozciągnął się przecież tylko na Bulgarów nizin. W górnéj Bulgaryi wolno jest znacznéj liczbie, pod rozmaitémi pozorami, broń nosić, szczególniéj zaś tym, którzy zwykli służyć w wojsku tureckiém, kiedy to zaciąga ludzi przeciw Albanczykom albo Bośniakom. Wojownicze te rodziny są Turkom bardzo dobrze znane.

— *Ze Lwowa.* —

Jp. J. N. Kamiński, autor drugiéj części opery: Krakowiacy i Górale, pracuje teraz nad trzecią częścią. Z gotowych już piosnek poszczęściło nam się dostać następujących:

Dwuspiew.

Bardos.

Powiedz mi Jonku, wiész ty, co kochanie?

Jonek.

Oj wiém panie,
Oj wiém panie!

Bardos.

Znałeś ty kiedy, to słodkie uczucie?

Jonek.

Miałem raz w zyciu serca kołatanie,
Takem się zarzył, kieby wągel w hucie.
Poznałem dziéwe z carnémi ocyma,
U nas niebieskie, zadna carnych nie ma.
Takem ją kochał, tak jéj ocy chwalił,
Troseckę dłuzéj, juzbym się był spalił.

Bardos, (z uczuciem — na stronie).

Święty płomieniu!
W twoim strumieniu,
W twoim jedynie,
Rozkosz życia płynie!
Ach jakéś błogi, jak słodko pieściwy,
Kto tobą nie tlał — mógłże być szczęśliwy?

Jonek, (patrząc z oka na Bardosa — z uśmiechem):

Juz ja uwazam na co się zanosi;
Na miłość chory, ona go komosi.
Oj to pokusa, serce bierze w klésce,
I tak w niem kole, kieb' igła w jadwisce;
Kto ją chce dobyć, jesce bardziej wpycha!
(z oznaczeniem)
Zazył tabaki, niechze juz zdrów kicha!

Bardos, (w marzeniu).

Nie prawdaż Jonku,
W którą spojrzysz stronę,
Przy piękném dzionku,
Ze wsząd świat ci miły?
Lecz byłby milszym....

Jonek, (udając westchnienie).

Gdyby cłek miał zonę!

Bardos, (z zapałem).

Żonę? Jonku? ty chcesz tego dobra?
Szukaj, bierz ją! ja ci dopomogę.

Jonek. (z pustotą, skrobiąc się w głowę).

Dawnoć juz tęsknię do Jadama ziobra,
Lec jabłko w gardle cyni jakąś trwogę.

Bardos.

Tkliwa wzajemność słodzi ostre losy,
Dłoń z dłonią łamie przeszkody oporne;
Miło w uścisku odpoczywać cnoty!

Jonek.

Dyć ja ku temu dość miewam ochoty,
Wiem jak się dziewka do chłopca kokosy,
Ale po ślubie, cy nurka nie porne?
(kłania się Bardosowi).
Gdyby kto przykład chciał piérwéj dać z siebie—?

Bardos, (poznawszy Jonka pustotę — niby się namyśla; potem z uśmiechem).

Może się skłonić — ku bliźnich potrzebie!

Bardos i *Jonek* razem, (z humorem ironicznym).

Otożto cnota, to uwaga święta;
Człowiek poczciwy na bliźnich pamięta.
Dla bliźnich z lodu w płomień się zamieni,
Dla bliźnich kocha, dla bliźnich się żeni.

Spiéwka Organisty.
(— ◡ — ◡)

1.

Świat jest organ wystrojony,
Wielkim cłekiem organista;
W jakiez on nie zagra tony,
Kiedy z ducha w cas korzysta.
Kiedy miech się rozkołyse,
W górę pójdzie az do banta,
Miło kłapią w skład klawise!
Organista tnie kuranta.

2.

Co mi pany, co mi ludy,
Gdy bez taktu w nieład lecą;
Sąto wprawdzie pysne dudy,
Lecz bez miecha nie zabecą.

Gdy je razem duch przeniknie,
Piękna spoi harmonija,
Wieniec mała z wielką kwiknie:
Gloria tibi, wiktoryja.
3.
Gdy się we łbie skłócą nóty,
A trelować zacną gołki;
Bas takt bierze, rznie dopóty,
Aż powróci ton do spółki.
Organista, to nie żarty,
I na *piano* rad pamięta,
W obie dłonie bierze Quarty,
Kalikują mu cielęta.
4.
Miejcież przecież wzgląd Doroto,
Zróbcie zgodę między nami;
Wsak mnie tylko chodzi o to,
Złączyć pytel z organami.
Wtedy w odpust i niedzielę,
Poprzysięgam na skarbonkę;
Będziem ślicne pnscać trele,
Pozna gmina, co mieć żonkę.

I. Filip Fallmerayer dowodzi w dziele swojém: *Geschichte der Halbinsel Morea* i t. d. (1830), że Moreoci, dotąd za prawdziwych Greków miani, są potomkowie Sławian, którzy w 4. 5. i 6tym wieku do dawnéj Grecyi napłynęli i osiedli ojczyznę Alcybiadesów i Peryklesów. Nazwę *Morei* wyprowadza od wyrazu sławiańskiego *morze*, lubo od łacińskiego *mare* także pochodzić będzie mogło.

Pewien dowcipny autor twierdzi, że długość życia ludzkiego obliczyć można ilością uderzeń pulsu, które siła serca wydaje. Rachujmy wiek zwyczajny człowieka na lat 70 i bierzmy w przecięciu 60 uderzeń pulsu na minutę; serce przeto przez całe życie wydałoby uderzeń 2,207,520,000: gdy zaś człowiek przez nieumiarkowane życie, pijaństwo i t. d. zmusza krew swoję do prędszego ruchu, tak, że puls jego w minucie n. p. 75 uderzeń wydaje, powyższą liczbę uderzeń osiągnąłby w 56 lat, a przeto życie swoje skróciłby o lat czternaście.

Gdy na wyspie Man niezamężna kobiéta bezżennego mężczyznę o wykradzenie oskarży, wnet sąd duchowny powołuje przysięgłych (*Jury*); gdy ci winnym mężczyznę znajdują, sędzia daje dziewczynie stryczek, miecz i pierścień i zostawia jéj wybór, czy chce wykradziciela powiesić, ściąć, czy poślubić. Słyszeliśmy, że wszystkie dziewice wyspy Man, znajdujące się w podobném położeniu, nad miecz i stryczek pierścień przenosiły.

Naturaliści nazywają kota zwierzęciem swobody. Z utraconą wolnością, traci kot swoje dawne nałogi, swoję wesołość, żądzę rozbojów i powoli ginie ze smutku. Jeden z najdrapieżniejszych kotów, zamknięty z myszami w klatce, lubo był głodny, żadnéj z nich nie naruszył.

Proboszcz angielski, Matlinson, pochował swoję matkę, dawał ślub ojcu swojemu i pochował go, chrzcił swoję żonę, sam wygłaszał zapowiedzi swoje, chrzcił i zaślubiał czworo swoich dzieci. Umarł w 96 roku życia i był lat 60 na jedném miéjscu w urzędzie. Aż do ostatnich lat życia swojego dochody jego nigdy 125 talarów nie przechodziły, a jednak żył wygodnie i nawet zostawił po śmierci 6,000 talarów.

W Paryżu, w domu obłąkanych, siedzi aktor, który śmieje się, gdy jest smutny, a płacze, gdy jest wesoły. Musiał w życiu swojém grywać wiele tegoczesnych trajedyj i komedyj.

Leon Chernon wydał w Paryżu wiadomości o domu Rothschildów z bijografiją każdego z jego członków. Bracia Rotschildowie, których jest pięciu, mają razem 140 mil. frank. majątku, a przez kredyt swój mogą 300 milijonami zarządać. Od lat 15 pożyczyli rozmaitym państwom Europy więcéj jak 2 bilijony (milijardy) 400 milijonów frank. w gotowiźnie i w zaręczeniach.

W Kantonie wychodzi teraz pismo czasowe w języku chińskim, zawierające sprawy europejskie. W numerze piérwszym umieszczona jest wiadomość o wzięciu Algiéru, krótka rozprawa o ekonomii politycznéj i opisanie ostatniéj rewolucyi we Francyi i w Belgijum.

Jak wiadomo Bristol jest jedném z najbogatszych miast handlowych Anglii. Właściciele 20 tamtejszych fabryk szkła umyślili miastu temu poświęcić rzadkie dzieło sztuki i na jedném z 7 wzgórzów onegóż wystawić kościoł z samych cegieł szklannych, który ma kosztować do milijona funtów szterlingów.

W Calmar, w Szwecyi, znajduje się cała familija karłów. Ojciec (plecący kosze) ma wysokości 3 stopy i 2 cale, matka 3 stopy 3 cale, a pięcioro dzieci mają od 1/2 do 2 i 1/2 stopy.

Pewien fabrykant powozów w Petersburgu wynalazł sanki, które za pomocą korby same bez koni poruszając się w przeciągu godziny pięć mil drogi robić mogą.

Po między dziewięciu tysiącami kawiarń w Londynie znajduje się jedna na przedmieściu Tower, która w licznych, smakownie przystrojonych salach, rozmaite rozrywki zawiéra n. p. hustawki, teatra maryjonetek, widowisko optyczne, tańce, sztuki kuglarskie, bilardy formy ośmiokątnéj i t. d. Można tam cały dzień i całą noc się bawić zapłaciwszy za wstęp gwineę.

Fabryka angielska sukna p. Mackintosha i spół. w Londynie robi teraz same choleryczne sukna, chroniące od wpływu powietrza i wilgoci, i opatrzone ingredencyjami, pomnażającémi zaskórnie ciepło ciała.

Dziennik naukowy historyczny i wojskowy, wychodzący w Berlinie, ogłosił ciekawą statystykę bibliotek wojskowych w Prusiech. Zakłady te, nic prawie nieznaczące przed Fryderykiem W., w następnych czasach mocno się wzrosły i pomnożyły. Dziś obejmują do 40,000 dzieł, co, licząc po trzy tomy na dzieło, wynosi 120,000 tomów.

Trajedyja Kazimiérze Delavigne p. t.: „Ludwik XI.“ czytaną była w komitecie komedyi francuzkiéj w Paryżu, i taki skutek na sędziach sprawiła, iż się rozpłakali. Poeta, jak mówią, wprowadził do niéj wiele nowości, wcale oryginalnych. Lud gra rolę jak w dramatach Szekspira, mając udział w saméj akcyi, nie zaś w epizodach. Przedstawienia téj sztuki oczekują jako jednego z największych zjawień literackich téj zimy. — Gosselin, uprzywilejowany wydawca dzieł W. Scotta i Coopera w Paryżu, drukuje teraz kronikę niemiecką ostatniego p. t: Haidenmaer, i wygotował 3/4 już tylekroć zapowiedzianego romansu: Robert z Paryża. *Revue de Paris* dziwną ogłasza przyczynę spoźnienia się tego dzieła, mianowicie: iż W. Scott w piérwszym, wyszłym już z druku tomie, przywiódł był bohatérkę romansu do stanu macierzyńskiéj nadziei; gdy zaś za dojściem do 3go tomu stan ten, zamiast stać się dramatyczną sprężyną, począł mu niezmiernie w dalszém rzeczy prowadzeniu zawadzać, po długim przeto namyśle postanowił przywrócić swą księżniczkę do piérwastkowego bytu panieństwa, za przemocą przedrukowania kilku arkuszy; po usunieniu dziecięcia i ojciec jego stał się mniéj potrzebnym, ztąd na wyrugowanie i ojca trzeba było użyć tego środka, co stało się powodem długiéj zwłoki.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera